

Jak bywam sobie, jest mi lżej



Jarosław Reszka

jaroslaw.reszka@express.bydgoski.pl

Miniona sobota. W Operze Nova Robert Bondara świetnie przenosi muzykę Karola Szymanowskiego z międzywojnia do współczesności. Harnasie nie noszą kapeluszy z piórkiem, guniek, kierpców i portek z parzenicami, tylko obcisłe jeansy, rozprute na wysokości kolan, powyciągane swetry, spod których wystają kraciaste koszule. Na głowy naciągnęli wełniane czapki. Do weselnej bójki nie stają z ciupagami. Walczą kulakami i kopniakami - niczym na kibolskiej ustawce. Rzecz niesłychana. Muzyka przedwojennego marzyciela, arystokraty ducha świetnie wpasowuje się w popisy harnasi XXI wieku.

Niedziela, dzień później. W kameralnej Sali Rubinowej kameralnego hotelu Bohema Jacek Borkowski z Adamem Marjańskim wchodzi między widzów i wkręcają ich do zabawy z erotycznym podtekstem. Prezentowanemu przez nich „Seksowi grupowemu, czyli Psychoterapii” wyrosła już broda. Tekst napisał nieodżałowany Jacek Chmielnik krótko przed tym, jak zabił go



FOT. DARIUSZ BŁOCH

JACEK BORKOWSKI wkręca uczestniczkę „Seksu grupowego” w Bohemie

prąd w piwnicy domku letniskowego. Borkowski i Marjański, przyjaciele Chmielnika, zrobili na tej podstawie „spektakl kabaretowy” i objeżdżają z nim Polskę od sześciu lat. Dobrze, że wreszcie znalazł się czas i miejsce, by pokazać go w Bydgoszczy. I dobrze, że nie jest to duża sala opery, filharmonii czy kinoteatru. Bo „Seksu grupowego” nie należy uprawiać na odległość. Aktor musi być blisko widza, wręcz ocierać się o niego. Z ulgą stwierdzam, że spektakl, który na początku wydaje się dość płaskim świntuszeniem, z upływem czasu dojrzewa i szlachetnieje. Zaczyna się od d..., a kończy, jak to zwykle w Polsce bywa, na polityce. Na szczęście w finale publiczność ukoł piosenka ze wspólnie nu-

conym refrenem: „Jak śpiewam sobie tę balladę, tę balladkę, jest mi lżej”.

Po takim weekendzie chętnie zaśpiewałbym też solo ciut zmieniony refren: „Jak bywam sobie, jest mi lżej”. Na kilkanaście dni przed 11 listopada zaczynam bowiem odczuwać w Bydgoszczy powrót przedwojennego ducha. I to bez capstrzyków z orkiestrami dętymi, uroczystych

Na kilkanaście dni przed 11 listopada zaczynam odczuwać w Bydgoszczy powrót przedwojennego ducha.

mszy, parad kawalerzystów i pompatycznych akademii bogoojczyźnianych. Czuję ducha starego miasta, w którym tętni życie. A życie to kiedyś podsuwało nie tylko wysoką kulturę dla wyelegantowanego tłumy (jak dziś bydgoska opera i filharmonia), nie tylko intelektualne zapasy z marnością świata całego (jak dziś nasz teatr), nie tylko - na przeciwnym biegunie - popkulturową papkę w rytmie disco (jak masowe imprezy na Różopolu), nie tylko kabaretony w halach sportowych, na których co chwila umiera się ze śmiechu bądź z nudów, i wreszcie nie tylko klubowe imprezy dla sekt offowych i alternatywnych odszczepieńców.

Dlatego z niecierpliwością czekam, aż zmartwychwstanie Teatr Kameralny z kameralną sceną - wierzę, że nie tylko dla lalek i lalkarzy. Trzymam też kciuki, by nie zabrakło pieniędzy na odczarowanie Okoła przez Teatr Rozmaiłości. Stare Miasto nabrało już gastronomicznej mocy. Jest dokąd pójść po koncercie czy spektaklu. Jeszcze lepiej byłoby, gdyby koncert i spektakl także zechciały za nami chodzić po ulicach i zaglądać nam do talerza i kieliszka, niekoniecznie kalecząc ucho sprośną piosenką i grubym żartem. Bo tej kultury złotego środka, z artystycznej piwnicy i kabaretowego teatrzyku, wciąż nad Brdą jest zdecydowanie za mało. ©